

Tymczasem stary stangret przyszedł nieco do siebie. Franciszek byłby chętnie poszedł do niego, lecz detektyw nakazał mu pozostać w domu i nikomu nie mówić o swej bytności.

W przedpokoju książęcych komnat wyciągnął „Szkłane oczko“ z kieszeni małą latarkę i zaświcił ją. Światło, z niej padające, wystarczało mu zupełnie do jego poszukiwań, bo było bardzo silne, a zresztą mógł w razie potrzeby użyć światła elektrycznego; tymczasem obchodził się swoją latarką.

Zamknawszy starannie drzwi za sobą, rozglądał się uważnie po pierwszym pokoju. Przy tego rodzaju poszukiwaniach okazywał Bernard szczególną bystrość. To też nie zabawił tutaj długo i przeszedł do komnaty sypialnej księcia.

Drzwi do niej były zapieczętowane, lecz Bernard otrzymał od prokuratora upoważnienie do ostrożnego jej zdjęcia i w kilka chwil przeszukiwał ze swoją latarnią kąty wspaniale urządzonej komnaty. Wiedział on o tem, że każdy dywan starannie przeszukano, szukając owego biletu. Jednak mimo tego rozpoczął poszukiwania na swoją rękę i nie pominął przy tem nawet najdrobniejszego fałdu. W obliczu jego było coś lisiego, a oczy zdawały się być jednocześnie na kilku miejscach. Lecz mimo wszelkich tych poszukiwań nie znalazł nic, coby przedstawiało jakąś wartość dla niego. Trzymając w ręku latarkę, położył się teraz na posadzce i wczółgał pod łóżko, aby i tam przegłądać każdy kącik.

Lecz nic i nic!

Wtedy podniósł się bez słowa i wyszedł z sypialni. Czapkę służącego wsadził do kieszeni, aby mu nie przeszkadzała. W kieszeni spodni spoczywał ostro naładowany rewolwer, który miał przeciw możliwym wypadkom, bo Bernard doświadczył już nie jednego w swoim zawodzie.

Detektyw przeszedł teraz do salonu księcia, nie zapieczętowanego przez prokuratora. Tutaj także zajęło mu poszukiwanie kawał czasu i mimo tego pozostało ono bez skutku. Pozostała wreszcie do przegłędzenia pracownia księcia.

Bernard nie złościł się bynajmniej tem, że jego dotychczasowa praca nie przyniosła żadnych rezultatów, bo wiedział, że tylko wytrwała, ciągła praca prowadzi do celu. Zdjąwszy przeto pieczęć, umieszczoną na drzwiach pracowni, skrzyknął na chwilę latarnię i słuchał przez kilka minut, czy przypadkiem nie usłyszy jakiego szmeru. Lecz nie usłyszał nic. Ostrożnie wsunął tedy klucz w zamek i otworzył. W ciemności wszedł do obszernej komnaty książęcej i zamknął starannie drzwi za sobą. Noc nie była zupełnie ciemna, koło północy powinien zejść, według obliczeń detektywa, księżyc, a ponieważ ostatnie dni padał śnieg, więc powinno być dość jasno.

Posłuchawszy jeszcze chwilę, zapalił napowrót latarkę. Teraz zobaczył, że pokój miał trzy okna i oszklone drzwi, prowadzące prawdopodobnie na balkon, lub schody ogrodowe, bo pokój leżał na wysokim parterze. Nad oknami i drzwiami wisały ciężkie, ciemne, aksamitne firanki, zupełnie spuszczone.

Detektyw zamknął na nowo pokrywę latarki i zbliżył się do drzwi, których położenie sobie zapamiętał. Nadzwyczaj ostrożnie rozsunął ciężki aksamit i patrzył na pola. Jego przypuszczenie nie zawiodło go, bo przed drzwiami znajdował się balkon, połączony z parkiem żelaznymi schodami.

Szeroka, okryta śniegiem płaszczyzna, rozciągała się przed jego oczyma. Księżyc właśnie zeszedł i park, na którego drzewach zwiisały śniegiem pokryte gałęzie, był oświetlony jego łagodnym światłem. Żaden głos nie załatywał z zewnątrz; park był w tak późnej porze całkiem pusty.

„Szkłane oczko“ usiłował otworzyć dzwi, lecz znalazł je zamknięte, a ponieważ się tego nie spodziewał, nie miał też klucza. Oglądał balkon, schody i najbliższe otoczenie, ściągnął napowrót firanki i zaświcił latarnię. Spodziewał się, że żadne ludzkie oko nie będzie go śledziło podczas poszukiwań, chociaż było można bardzo łatwo niepostrzeżenie dostać się do parku na balkon i przez małą szparę zaglądać do pokoju.

Lecz któż mógł się poważyć na to w tak niezwykłej porze i na co?

Detektyw postawił latarkę na krawędzi jednej z kolumn w ten sposób, że promienie jej padały na biurko i bez wahania pootwierał pojedyncze szufladki w ten sam sposób, w jaki to uczynił prokurator; przegłądał następnie starannie każdy kawałek papieru. Wyjął z kieszeni książkę i zapisywał od czasu do czasu krótkie uwagi. Po przegłędnięciu kładł napowrót wszystko na swoje miejsce. Czego się spodziewał, tego nie znalazł; żadnego

wyjaśnienia, żadnego znaku, ani wskazówki nawet, gdzieby szukać tajemniczych morderców!

„Szkłane oczko“ cofnął się od biurka i raz pierwszy przebiegł wyraz niezadowolenia po jego twarzy. Następnie małe jego oczka zaświeciły dziwnie. Po raz drugi zabrał się do przegłędania wielkiego, staroświeckiego biurka. Tego rodzaju meble posiadają zawsze tajemne skrytki i ta okoliczność, że Bernard dotąd żadnej nie znalazł, naprowadzała go na to, że jest ona bardzo dobrze ukryta. Lecz człowiek, tak doświadczony w tym kierunku, jak Bernard, nie dał się tak łatwo zniechęcić.

Po dziesięciu minutach poszukiwania wydał on lekki okrzyk. Znalazł bowiem sprężynę, która musiała otworzyć szufladkę, umieszczoną w tylnej ścianie biurka. Drugie usiłowanie i sprężyna opadła, a Bernard zobaczył przed sobą plik papierów.

W tej samej chwili odwrócił głowę i spoglądał ku zapuszczonej na drzwiach firance.

Czyż nie usłyszał tam szmeru? Może się łudził, bo szmer ten mógł pochodzić z samego biurka.

Mimo tego zgasił Bernard natychmiast światło i jednym skokiem znalazł się przy drzwiach, równie szybko rozsunał firankę i zapuścił wzrok w park. Nie zobaczył jednak nikogo i wzruszywszy ramionami, podszedł napowrót do biurka. Zapalił światło i wyciągnął ostrożnie papiery z tajemniczej skrytki. Były tam dwa stare, częściowo żółkłe dokumenty familijne, a obok nich leżał te-

dawno temu „Szkłane oczko“ skamieniał, uciekał i znikł właśnie za krzakami. Detektyw wyciągnął w pogoni z kieszeni rewolwer i był zdecydowany, wystrzelać zmusić uciekającego do zatrzymania się.

Lecz Bernard nie mógł się zorientować w parku. Nie był on tutaj nigdy i już po kilku minutach musiał przyznać, że książę mu się wymknął. Był on jednak nadzwyczaj uparty i podobnie, jak rasowy pies, gdy zgubi ślad, biegał po pokrytym śniegiem parku. Trzask gałęzi wskazał mu nagle kierunek, w którym uciekał ten, którego rysy były wiernym odbiciem rysów księcia.

Nagle stanął detektyw przed murem parku. Wązka żelazna furtka zamknęła się właśnie, skrzyjąc głośno na zawiasach i w tej chwili strzelił detektyw z rewolweru. Poza bramką, która prowadziła na ulicę, spostrzegł cień pojedynczej postaci. Czy trafił, czy nie, nie mógł teraz osądzić. Furtka była zamknięta i oparła się silnym pchnięciem Bernarda. Musiał on przejść przez mur. Dopomogło mu do tego drzewo i właśnie w tej chwili, kiedy znajdował się na wysokości muru, przejechał w ostrym tempie zamknięty powóz i zniknął na rogu ulicy. Teraz przekonał się detektyw, że dalszy pościg był niemożliwy, tem bardziej, że nie miał pod ręką powozu.

Spuścił się przeto z muru, nacisnął czapkę na głowę i puścił się ku miastu, tymczasowo bardzo zadowolony z odkrycia, które zrobił.

Jedno tylko było dla niego zupełną zagadką: Co miał ten markiz de Lerma wspólnego z tą zbrodnią, bo była ona niezaprzecznie, chociażby książę był przy życiu.

Bernard miał następnego dnia z prokuratorem tajną rozmowę, której punkt środkowy tworzyło dziwne ukazanie się księcia de Bligny. Zgodzono się na to, że w ostatnim wypadku należy zachować najgłębsze milczenie.

Prokurator jeszcze teraz wzbraniał się wydać trupa, pozostającego w mordzie, chociaż zarówno pan de Brepont, jak i stary sługa, prosili o wspaniały pogrzeb.

Prokurator odmawiał tym prośbom bez żadnego umotywowania.

„Szkłane oczko“ studyował teraz dokładnie listy meldunkowe hoteli paryskich, chociaż ta praca była dość uciążliwa. Długo nie mógł znaleźć najmniejszego punktu oparcia. Wtedy zażądał przedłożenia sobie t. zw. czarnych list, które prowadził jeden z karnych oddziałów sądu paryskiego. Rozchodziło się tutaj o osoby, mieszkające w rozmaitych hotelach, o których policja nie wiedziała, skąd czerpią środki na opędzenie wydatków. Do pilnowania tych ludzi, którzy nosili często arystokratyczne nazwiska, byli wyznaczeni najbieglejsi urzędnicy.

Bernard znalazł tutaj swe pierwsze powodzenie i udał się do kierownika tego biura. Ten zgodził się natychmiast na przegłędnięcie list przez detektywa, który siedział nad nimi całymi godzinami. Mogł tam znaleźć książąt, hrabiów, baronów ze wszystkich krajów. Tylko w rzadkich wypadkach występowała otwarcie przeciw nim policja. Wystarczało jej tylko to, że mogła ich nadzorować. Opuścił z nich który Paryż, żeby się nie wydarzyło, to przekreślano poprostu jego nazwisko i niszczone listy.

Oczy Bernarda padły po długim szukaniu na nazwisko, które go zainteresowało.

„Szkłane oko“ był specjalistą w badaniu i w poznawaniu ludzi po ich nazwiskach. Nazwisko, które jemu wydawało się podejrzanem, musiało być własnością człowieka, o którym nic dobrego powiedzieć nie było można.

Szczególnie pilnie zajmował się „szkłane oko“ badaniem nazwisk osób, które tylko na pewien czas przybyły do Paryża i stały w jednym z tamtejszych hoteli. To było najlepsze pole popisów pana Bernarda. Jak wspomnieliśmy, uderzyło go jedno z tych nazwisk. (C. d. n.).



Prokurator z największą flegmą oglądał zwłoki; dla niego przedstawiały one teraz ciekawy przedmiot.

stament księcia, na który Bernard zwrócił bardzo mało uwagi. Lecz znalazł jeszcze jeden papier, który był dla niego ważniejszy od tego wszystkiego. Z tajemniczym uśmiechem, kiwnąwszy kilkakrotnie głową, zabrał się do przeczytania go.

Przed nim bowiem leżał akt ślubny księcia de Bligny.

O tem dokumencie nie wiedział z pewnością ani pan de Brepont, ani jego córka.

Detektyw czytał półgłosem:

„W maju, roku 1901 -- Maurycy de Lanterre — poślubił Gizę Cornary, tancerkę opery paryskiej — Nizza“.

„Szkłane oczko“ poglądził prawie z pieszczotą, jeszcze dość świeży papier, na którym błyszczały herby Francji i chciał właśnie go złożyć, gdy huknął strzał. Wystrzelono tuż pod drzwiami, a kula, rozbiwszy szybę, przeleciała koło ucha detektywa i trafiła w ścianę.

— Hola! — krzyknął detektyw, podskoczywszy w górę.

Jednym skokiem dopadł drzwi i silnym kopnięciem wysadził je z zawias. Oddał przy tem firankę i spotkał się oko w oko z trupio-błądą twarzą zaginionego księcia de Bligny.

Bernarda to tak zdumiało, że cofnął się, przetarł oczy, bo nie wiedział, czy śni, czy jest na jawie. Leżące na ziemi kawałki szkła i przedziurawiony mur, wróciły mu szybko przytomność. Przedewszystkiem należało ująć księcia.

W tej chwili przypominał sobie Bernard o dokumencie, który leżał na stole, pochwycił go szybko, schował do kieszeni, następnie wypadł do parku. Na białej płaszczyźnie śnieżnej, błyszczącej w promieniach księżycy, odbijały ostro ślady stóp.

Niespodziewany gość, na widok którego nie-